

## Za ścianą — Antoni Grycuk

**Od autora:** Ten tekst już prezentowałem, ale teraz jest mocno poprawiony.

---

Szara płachta papieru leży gdzieś w zaułku. Są na niej rysunki. Jedne wyraźne, narysowane twardym ołówkiem, z dwiema szczęśliwymi postaciami, drugie rozmazane, pociągnięte węglem, z czymś, czego nie umiem rozpoznać, a jeszcze inne to bardziej plamy i rozmycia.

To, co dzieje się za ścianą, przyprawia mnie o pomieszanie zmysłów. To dla mnie zbyt dużo. Zamknąłem te drzwi i zniknęła mi z oczu. A tak chciałbym ją jeszcze zobaczyć. Czasem areszt domowy jest nie dla osoby zamkniętej, ale dla tej, która musiała ją zamknąć.

Prawie nie zmrużyłem oka. Tylko moment lewitowałem gdzieś w czasoprzestrzeni, próbując zrozumieć, jak to się dzieje, że gdy otwieram powieki, wszystko jest inne niż przed chwilą – łóżko zwyczajne, stół normalny, to samo biurko i fotel, nawet kot taki zwykły, dachowiec. Patrzę na zegarek: czwarta dwadzieścia. Mówili, że to kwestia godzin. Wypuszczam powietrze, słysząc szum, który zakłóca to, co najważniejsze. Coś zgrzytnęło! Z której to strony?! Ale istnieje tylko ten jeden kierunek. Miałbym ochotę zburzyć ścianę, połączyć pokoje w całość, być tam, ale obiecałem, że nie będę patrzył. A każda komórka nerwowa mózgu się tego domaga.

Staram się sobie tego nie wyobrażać, choć trudno utrzymać umysł na wodzach; jest jak dziki kot zamknięty w klatce: szamocze się, rzuca nerwowo, wydaje pomruki – są ostrzeżeniem dla innych czy dla niego samego? Ale w mojej głowie pojawiają się niechciane obrazy, każdy z nich niby niezwiązany, odległy, a nie wiedzieć czemu czuję w nich to, co nieuniknione.

Chciałbym pamiętać ten pierwszy dzień i pierwszą noc, znów cieszyć się jak wtedy, odnowić to, co najpiękniejsze, lecz odbijam się z hukiem od twardej ściany emocji. Przyszłość jest najsilniejsza. Tyka niesłyszalnym, lecz najgłośniejszym przeskakiwaniem wskazówek. Staram się nie myśleć o tym, co obok, jednak wewnętrzny wzrok jest tam wlepiony, zahipnotyzowany monotonią. Kiedyś wyobrażałem sobie dokładnie, jak mógłbym się zachować w podobnej sytuacji – wszystko było ułożone w swej beznadziejności, dojmujące smutkiem. Ale rzeczywistość jest inna. To nie smutek, nie rozpacz. To pomieszczenie bez wyjścia z zaciskającymi się ścianami.

Zamykam oczy, pragnąc choć na chwilę odpłynąć, przyśnić obraz z dzieciństwa, gdzie wszystko było proste i bezpieczne, ale widzę tylko jedno: unoszącą się na wietrze płachtę szarego papieru. Najpierw podrywa się o metr w górę, skręca w lewo, potem w prawo, znów się unosi, by zatoczyć wielkie koło w wirze emocji. W końcu kieruje się w stronę słońca, przesłania blask, dając lunę dookoła i dziwny cień ogarniający całą moją postać. Tylko ruchoma kamera umysłu z wyraźnie widocznymi brzegami kadru, drżąc, kieruje się za tą płachtą, aż z ostrzeżeniem wyczerpanej baterii gaśnie...

Budzę się z gwałtownym ściśnięciem żołądka. Piąta za pięć. Czyli przespałem pół godziny. Chociaż tyle dobrego. A co, jeśli już po wszystkim? Wsłuchuję się w niesłyszalne dźwięki. Jest ich sporo. Bardzo dużo. Jedne przypominają szuranie kapciami o podłogę, inne odchrząkiwanie, a kolejne to odgłosy przyrządanej porannej kawy; czajnik zaczyna szumieć, łyżeczka dzwoni o kubek, nawet słyszę nuconą melodię, która była ze mną od momentu, gdy się poznaliśmy. A może to wszystko mi się przyśniło i cały czas jest jak kiedyś, bez tych cholernych zmian? Już odkrywam kołdrę, chcę się poderwać, sprawdzić, ale

leżące obok zdjęcie rentgenowskie płuc nie pozostawia złudzeń.

Od trzech dni nie wyszedłem z domu. Siedzę w tym przeklętym pokoju – przecież obiecałem, że nie będę patrzył. A chciałbym wsiąść w samochód, zatankować do pełna i popędzić, gdzie los poniesie, oby jak najdalej, bo skoro nie mogę być blisko, to może odległość złagodzi te łączące nas, a teraz nie do wytrzymania więzi. Pojechać w góry, wdrapać się na najwyższy szczyt i dać się pochłonąć otaczającej przestrzeni.

Dobiega do mnie dziwny jęk. Takiego jeszcze nigdy nie słyszałem, nawet nie potrafiłbym sobie wyobrazić. Niesie wszystko, co mroczne, co zapowiedziane. Dobiega zza ściany? Nie, to kolejny raz umysł płata mi figle. Przekręcam się na brzuch, wtulam twarz w poduszkę, chcę uciec od wszystkiego. Szum w głowie narasta, ale nie zagłusza tego jęku.

Nagle słyszę swoje imię. Wyraźnie i głośno. Zrywam się z łóżka, już chcę biec w tamtą stronę, ale w pamięci dudni błaganie, abym był z dala. A co, jeśli zmieniła zdanie? Moja druga połówka. Jedyna, od zawsze. A jeśli chce mnie obok siebie? Wypowiada moje imię z bólem, wręcz ze skurczem całego ciała – na wydechu. Ostatnia głoska się urywa, przeistaczając w moim umyśle w łagodne: kocham cię.

I wszystkie dźwięki ustają. Padam bezsilnie na łóżko. Nawet wskazówki zegarka zamierają w bezruchu.

Dagmara nuci swoją ulubioną melodię. Jesteśmy znów razem.

Tylko unosząca się płachta szarego papieru faluje coraz wyżej i wyżej. Płynie w stronę światła. I znika wchłonięta przez wieczność.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

AntoniGrycuk, dodano 25.08.2019 13:30

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).